

## Moje refleksje nad polsko-niemieckim tabu

Tabu polsko-niemieckie! Cóż to takiego?

Czymże ono jest, w tej przestrzeni historycznej, geograficznej, politycznej, w narracjach osobistych i rodzinnych, w miejscu styku i wzajemnego przenikania się różnych nacji, tradycji i kultur, w obrębie tej dziwnej krainy pojednanej różnorodności, której na imię: Śląsk, zwłaszcza mój Śląsk-Śląsk Opolski?

Tyle odcieni, tyle barw tego fenomenu, tyle niezagojonych ran, uprzedzeń, ideologicznych poglądów i opinii, tyle niewypowiedzianych nigdy nikomu słów, bo przecież to zbyt niebezpieczne, bo niedozwolone, bo nazbyt bolesne i zagmatwane w losach ludzi dotkniętych tą przestrzenią.

Przestrzenią, „tabu”, przestrzenią małej ojczyzny, mego „Heimatu”, mego Śląska.

„Tabu” – temat zakazany. Nie można tak ryzykować!

Można przecież w jednej chwili wszystko stracić. Narazić się na odrzucenie, niezrozumienie, szyderstwo czy kpiny.

„Tabu”, więc to musi pozostać na zawsze tajemnicą, niczym czeluść bez dna, ciemna i niebezpieczna, sięgająca korzeniami do prastarych, wielowiekowych początków jakiegoś dziwnego nieporozumienia, obcości, zamknięcia i wrogości pomiędzy ludźmi, między sąsiadami, między narodami, a może jeszcze gdzieś głębiej: w samym jestestwie człowieka... W niewidzialnej granicy człowieka z samym sobą?

W tej przestrzeni szczególnego „tabu” polsko-niemieckiego wzrastałam od dzieciństwa, czując się często nią zniewolona, załęczniona, jakby-napiętnowana, naznaczona.

Ja, Ślązaczka, poszukująca swej tożsamości!

Czułam tę przestrzeń już od wczesnego dzieciństwa, kiedy to mój dziadek czytał mnie i moim braciom na dobranoc bajki w języku niemieckim, kiedy moja mama śpiewała nam kołysanki w tym samym języku i kiedy rodzice uczyli nas niemieckich modlitw i piosenek.

Czułam tę zakazaną „przestrzeń tabu”, kiedy zauważyłam jak rodzice z nieukrywanym lękiem zerkali w stronę okna, czy ktoś „życzliwy” nie podsłuchuje na zewnątrz. Jak się później dowiedziałam, dziadek był z tego powodu przesłuchiwany i zatrzymany przez UB w Opolu. Aby dopełnić opowieści, muszę wspomnieć, że mój dziadek został po wojnie kierownikiem polskiej szkoły, zaś przed wojną pracował jako niemiecki nauczyciel w niemieckiej szkole niedaleko Opolu.

Znał dobrze obydwa języki, polski i niemiecki, bo pochodził ze Śląska, z Jastrzębia Zdroju, gdzie zdobył wykształcenie jako niemiecki nauczyciel. W czasie Powstań Śląskich znalazł się w wyniku różnych zawirowań na Śląsku Opolskim. Moja matka po zdaniu w 1944 roku niemieckiej matury w gimnazjum żeńskim w Opolu, po wojnie, nie знаła ani jednego słowa w języku polskim. Wkrótce jednak, po ukończeniu kursów repolonizacyjnych na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie zaczęła pracować w szkole podstawowej jako polska nauczycielka. Była jedyną maturzystką, która z całej klasy po wojnie nie wyemigrowała do Niemiec. Została z rodzicami w swym Heimacie, bo oni po okrucieństwach wojny i reżimu nazistowskiego nie chcieli zamieszkać w Niemczech.

W tym kontekście, nietrudno jest sobie wyobrazić, jakie dylematy przeżywałam sama

gdy rozpoczęłam edukację w szkole podstawowej, poznawałam historię Polski, nazizm, okrucieństwa II wojny światowej, Holocaust... Jakie wtedy żywiłam uczucia do zniechęconych Niemców, choć z drugiej strony wiedziałam, że jest to naród moich przodków, naród wspaniałych muzyków, twórców, poetów... Moja mama i mój dziadek uzyskali solidne wykształcenie muzyczne, pięknie grali na pianinie i w naszym domu zawsze było dużo muzyki: grano i śpiewano pieśni Schuberta, Schumanna, Griega, Mozarta, ale też Chopina, Moniuszki i wielu innych twórców. Rozśpiewywano się w naszym domu w niemieckich pieśniach ludowych i śpiewano polskie kolędy. Dziadek zapalał w nas miłość do literatury niemieckiej okresu romantyzmu, znał na pamięć całe passusy z „Fausta” Goethego, czy z utworów Schillera i Heinego.

Dziś wiem, że to dzięki moim rodzicom, a zwłaszcza mojej mamie i dziadkowi, dzięki ich wspaniałemu humanizmowi, „szerokiej duszy” i głębokiej religijności, nie zagnieździła się we mnie i w moich braciach, w naszych sercach i umysłach nienawiść do żadnego narodu.

Oni uczyli nas szacunku do każdego człowieka, uwrażliwiali na „drugiego”, również tego „obcego”, choć sami wielokrotnie doświadczali nienawiści. Najpierw, w okresie nazizmu, przed którym mój dziadek się nie ugiął i uważał go za największe nieszczęście i zagrożenie dla narodu niemieckiego, a potem, już w czasach powojennych, kiedy jako śląscy Niemcy doznawali różnych szykan i upokorzeń ze strony administracji polskiej.

Nauczyli nas krytycznego spojrzenia i umiejętności osądu sumienia, nie przez przyzmat odpowiedzialności zbiorowej czy narodowej, lecz odpowiedzialności osobistej.

Ten krótki wątek osobistej historii w żaden sposób nie jest w stanie oddać całej złożoności tej skomplikowanej sytuacji mego dzieciństwa, a potem nauki w szkole podstawowej, w Liceum, w okresie studiów medycznych i dalszego życia. Proces poszukiwania własnej tożsamości i przynależności narodowej trwał bardzo długo i czasem myślę, że trwa nadal, do dziś. To pewnie dlatego wybierałam rokrocznie warsztat „Tabu polsko-niemieckie” na naszych konferencjach.

Teraz wiem, że jestem Ślązacczka, która niejako wcieliła w siebie wiele wpływów niemieckich, polskich, śląskich, a nawet moraw-

skich, która zdobyła polskie wykształcenie, której językiem ojczystym jest język polski, która czuje swą duszą piękno literatury, kultury, tradycji, muzyki i śpiewu obu narodów, a nadto zna jeszcze niezwykle bogato zdobioną mozaikę śląskich zwyczajów, śpiewów i dialektu.

Wyposażona w takie doświadczenie osobiste, w taką historię, trafiłam przed prawie 20 laty na sympozjum PNTZP do Bielefeld-Bethel. Myślę, że nikogo już nie zdziwi fakt, iż od tej pory przez wszystkie następne lata wybierałam warsztat poświęcony tematowi: „Tabu polsko-niemieckie”. Sądzę, że jest to też w ogromnej mierze zasługą człowieka, którego wtedy w Bielefeld spotkałam. Myślę tu o niezapomnianym świętej pamięci Profesorze Adamie Szymusiku.

Wywarł On na mnie ogromne wrażenie! Poczułam się przy Nim wolna, przygarnięta i zaakceptowana z moją historią, taką jaką ona była. Mogłam wreszcie bez lęku, wstydu i obaw opowiedzieć o sobie, o swojej historii, o problemach w poszukiwaniu własnej tożsamości, o wzrastaniu i wychowywaniu w dość nietypowych okolicznościach.

Sądzę, że to był jeden z najważniejszych powodów mego związania się i pozostania w PNTZP, nie mówiąc już o tym, że zafascynowała mnie od początku rozległość tematyczna naszych konferencji, daleko wykraczająca poza granice ścisłej psychiatrii.

Potem... było jeszcze wiele bardzo ciekawych spotkań, rozmów, dyskusji, warsztatów... (choćby wspomnieć ten niezapomniany warsztat „Tabu” w Ravensburg, czy w Popowie, albo fascynującą opowieść życia Profesora Stefana Ledera). Z biegiem lat dołączali do nas coraz młodszy uczestnicy naszych konferencji i niezwykle ciekawą rzeczą była możliwość obserwowania zmiany pokoleniowej, zmiany mentalności, przełożenia akcentów, nowej jakości problemów ludzi młodych, ich innego punktu widzenia i wartościowania rzeczywistości, pewnej „świeżości” kontaktów jakby bardziej wyzwolonych z przeszłości i usadowionych na innym poziomie. Nachodziła mnie przy tym refleksja i obawa, czy aby nie jest to zbyt powierzchowne, „zglobalizowane”, technokratyczne i pragmatyczne, wyzute z pamięci zbiorowej pokoleń i jakby odcięte od korzeni wspólnej historii naszych narodów, z której zawsze należy czerpać, by jak ze

skarbcza dobywać rzeczy dobre i słuszne dla wzajemnego poznania i zbliżenia, a odrzucać rzeczy złe.

Dlatego, jak sądzę, dobrze jest nie zapominać o „tabu” i nie bagatelizować go. I to wcale nie po to, by budzić upiory przeszłości. Bo „tabu” pozostanie zawsze i musi pozostać, niczym tajemnica, która osnuwa życie każdego z nas i losy ludów i narodów.

I choć, mroczna i nieprzenikniona, napawająca lękiem, to jednak nie istnieje bez światła i odwrotnie. Dobre słowo, dialog, umiejętność słuchania, spotkanie są promykami tego światła.

I dają nadzieję w mrocznej narracji narodów.